

Raport położnej z Oświęcimia*

W ciągu 38 lat wykonywania zawodu położnej dwa lata spędziłam jako położna-więzień w kobiecym obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka.

Wśród licznych transportów kobiet, które przybywały do tego obozu, nie brakowało kobiet ciężarnych. Funkcje położnej pełniłam tam kolejno w trzech blokach, nie różniących się ani budową, ani wewnętrznym urządzeniem, poza jedynym szczegółem, że jeden z nich posiadał posadzkę ułożoną z cegieł. Były to zbudowane z desek baraki o długości około 40 metrów, z licznymi szczelinami wygryzionymi przez szczury.

Teren obozu był niski i gliniasty, toteż podczas większych deszczów spływająca do wnętrza baraków woda sięgała kilkunastu centymetrów, a w barakach położonych niżej — nawet kilkudziesięciu.

Wewnątrz baraku, po obu stronach, wznosiły się trzypiętrowe koje. W każdej z nich — na brudnym sienniku, pełnym śladów zaschniętej krwi i kału — zmieścić się musiały trzy lub cztery chore kobiety. Było więc ciasno; chore musiały opuszczać nogi poza koje albo trzymać kolana pod brodą. Było także twardo, starta bowiem na proch słoma dawno uleciała w postaci kurzu, a chore kobiety leżały na gołych niemal deskach, w dodatku nie gładkich, bo pochodzących z części drzwi lub okiennic pościąganych ze starych budowli, z „filongami” odgniatającymi ciało i kości.

Pośrodku wzdłuż baraku ciągnął się piec w kształcie kanału, zbudowany z cegieł, z paleniskami na krańcach. Służył on jako jedyne miejsce odbywania porodów, innego bowiem,

* Referat wygłoszony 2 marca 1957 r. podczas uroczystości jubileuszu pracy położnych na terenie Oddziału Zdrowia Łódź-Bałuty.

choćby zaimprovizowanego, urządzenia na ten cel nie przeznaczono. Palono w nim corocznie zaledwie kilka razy. Dlatego też, szczególnie w okresie zimowym, dokuczało dotkliwie, przejmujące zimno, którego widoczną oznaką były zwisające z sufitu, a raczej z dachu, długie sople lodu.

Trzydzieści koi wydzielonych najbliżej pieca stanowiło tzw. sztabę położniczą.

W bloku panowały ogólnie: zakażenia, smród i pełno było wszelkiego rodzaju robactwa. Roilo się od szczurów, które odgryzały nosy, uszy, palce czy pięty opadłym z sił i nie mogącym się poruszać ciężko chorym kobietom.

W miarę możliwości odpędzałam szczury od chorych na zmianę z kobietą dyżurującą w nocy, tzw. „nachtwachą”. Pomagały nam chore rekonwalescentki, dzieląc się między sobą godzinami snu. Szczury, wypasione na zwłokach, wyrosły jak potężne koty. Nie bały się ludzi, a odpędzane kijami często chowały tylko łby, wbijając pazury w koje i szykując się do nowego ataku; lgnęły one do cuchnącego zapachu ciężko chorych kobiet, których nie było czym umyć i dla których nie miałyśmy świeżej odzieży. O wodę niezbędną do obmycia rodzącej matki i noworodka musiałam starać się sama, przy czym przyniesienie jednego wiadra wody pochłaniało około dwudziestu minut.

Niezmiernie liczne robactwo wszelkiego rodzaju wyzyskiwało swą biologiczną przewagę nad gasnącą żywotnością człowieka. Ofiarami stałej ofensywy robactwa i szczurów stawały się nie tylko chore kobiety, ale i nowo narodzone dzieci. Organizmy wyczerpane głodem i zimnem, udręczone torturami i chorobą, szyb-

⁷¹
* Zob. też: J. Rawicz: Anty-Dering. (Działalność lekarza Władysława Deringa w obozie oświęcimskim). Prawo i Życie, 1962, nr 13, str. 8 i 7 (przyp. red.).

ko umierały. Ogólna liczba chorych w bloku wynosiła od 1 000 do 1 200 osób. Spośród nich umierało codziennie kilkanaście. Ciała, wynoszone przed blok, były codziennym niemym raportem przeżytej tragedii.

W tych warunkach dola położnic była opłakana, a rola położnej — niezwykle trudna. Zupełnie brakowało środków aseptycznych, materiałów opatrunkowych i leków; całkowity przydział leków dla bloku wynosił zaledwie kilka tabletek aspiryny dziennie.

Początkowo zdana byłam wyłącznie na własne siły. W przypadkach powikłanych, wymagających interwencji lekarza specjalisty, jak np. ręcznego odklejenia łożyska, musiałam radzić sobie sama. Niemieccy lekarze obozowi Rhode, Koenig i Mengele nie mogli przecież „zbrukać” swego powołania lekarskiego niesieniem pomocy nie-Niemcom, toteż wzywał ich pomocy nie miałam prawa. W późniejszym okresie korzystałam kilkakrotnie z pomocy polskiej lekarki Janiny Węgierskiej, pracującej na innym oddziale, oddanej całkowicie chorym, a jeszcze później z pomocy również bardzo zacnej polskiej lekarki, Ireny Koniecznej. W czasie, gdy sama chorowałam na dur wysypkowy, wielką pomoc okazała mi niezwykle uczynna dr Irena Białówna, troskliwie opiekując się mną i moimi chorymi.

O pracy lekarzy w Oświęcimiu nie wspominać, gdyż to, co obserwowałam, przekracza moje możliwości wypowiedzenia się na temat wielkości lekarskiego powołania i bohaterstwo spełnionego obowiązku. Wielkość lekarzy, ich poświęcenie zastęły w żrenicach tych, którzy udreżeni niewolą i cierpieniem nigdy już nie przemówią. Lekarz walczył o życie stracone i za stracone życie poświęcał życie własne. Miał do dyspozycji przydział kilku aspiryn i wielkie serce. Tam lekarz pracował nie dla sławy, pochlebstwa czy zaspokojenia ambicji zawodowej; wszystkie te bodźce odpadły. Pozostał tylko lekarski obowiązek ratowania życia w każdym przypadku i w każdej sytuacji pomnożony przez współczucie dla człowieka.

Głównym schorzeniem dziesiątkującym kobiety była czerwonka. Często rozwolnione stolce chorych ściekały na koje ustawione niżej. Spośród innych ciężkich chorób panowały dury brzuszny i wysypkowy oraz złośliwa pęcherzyca. Pojawienie się na ciele chorej kilku ropnych pęcherzy — w przybliżeniu wielkości talerza — powodowało śmierć. Przypadki duru wysypkowego w miarę możliwości ukrywano przed „lagerarzem” (SS-mańskim lekarzem obozowym) zwykle w ten sposób, że na karcie chorobowej pisało się „grypa”, ponieważ chore na dur były natychmiast tracone w krematorium. W zasadzie nikomu nie udało się uniknąć tej choroby; masa wszy była tak olbrzymia, że zarażenie dudem stało się zjawiskiem nieuniknionym dla każdego.

Główne pożywienie chorych, zgniłe, rozgotowane zielsko, zawierało bez przesady około 20% szczurzego kału.

W opisanych warunkach pracowałam przez 2 lata, dzień i noc, bez zastępstwa. W pracy

pomagała mi niekiedy moja córka, Sylwia, lecz ciężkie choroby, które i jej nie ominęły, czyniły ją do tego przeważnie niezdolną.

Chore rodziły na piecu. Przeprowadziłam tam przeszło 3 tysiące porodów. Pomimo przeżającej masy brudu, robactwa, szczurów, pomimo chorób zakaźnych, braku wody oraz innych, nie dających się opisać okropności, działo się tam coś niezwykłego.

Pewnego razu Lagerarzt kazał mi złożyć sprawozdanie na temat zakażeń położniczych i śmiertelności wśród matek i noworodków. Odpowiedziałam wtedy, że nie miałam ani jednego przypadku śmiertelnego u matek i nowo narodzonych dzieci. Lagerarzt spojrział na mnie z niedowierzaniem. Powiedział, że nawet najdoskonalej prowadzone kliniki uniwersytetów niemieckich nie mogą się poszczycić takim powodzeniem. W oczach jego czytałam gniew i nienawiść. Możliwe, że ogromnie wyniszczony organizmy były zbyt jałową pożywką dla bakterii.

Spodziewająca się rozwiązania kobieta zmuszona była odmawiać sobie przez czas dłuższy przydzielonej racji chleba, za który mogłaby — jak to powszechnie określano — zorganizować sobie prześcieradło. Prześcieradło darła na strzępy, przygotowując pieluszki i koszulki dla dziecka, żadnej bowiem wyprawki dzieci oczywiście nie otrzymywały.

Na oddziale brakowało wody, toteż pranie pieluszek nastęczało wiele trudności, zwłaszcza wobec surowego zakazu opuszczania bloku, jak i niemożności swobodnego poruszania się w nim. Wyprane pieluszki położnicze suszyły na własnych plecach lub udach, rozwieszanie ich bowiem na widocznych miejscach było zabronione i mogło być karane śmiercią. Zasadą było, że dzieci nie otrzymywały żadnych przydziałów żywnościowych, nawet kropli mleka. Wysuszone głodem piersi matek drażniły tylko wargi noworodków, wyzwalając daremny odruch ssania i potęgując głód.

Do maja 1943 r. wszystkie dzieci urodzone w obozie oświęcimskim były mordowane w okrutny sposób: topiono je w beczulce. Czynności tych dokonywały Schwestern Klara i Schwestern Pfani. Pierwsza była z zawodu położniczką i dostała się do obozu za dzieciobójstwo. W związku z objęciem przeze mnie funkcji położnej zabroniono jej odbierania porodów, albowiem jako „Berufsuverbrecherin”¹ była pozbawiona prawa wykonywania swego zawodu. Zlecono jej czynności, do których się bardziej nadawała. Powierzono jej także kierowniczą funkcję tzw. blokowej. Do pomocy przydzielono jej niemiecką ulicznicę — rudą i piegowaną Schwestern Pfani. Po każdym porodzie z pokoju tych kobiet dochodził do uszu położnic głośny bulgot i długo się niekiedy utrzymujący plusk wody. Wkrótce potem matka mogła ujrzeć ciało swego dziecka rzucone przed blok i szarpane przez szczury.

W maju 1943 roku sytuacja niektórych dzieci uległa zmianie. Dzieci niebieskookie i jasno-

¹ Zawodowa zbrodniarka.

włose odbierano matkom i wysyłano do Nakła w celu wynarodowienia. Przejmujący płacz matek żegnał odjeżdżające transporty niemowląt.

Póki małeństwo przebywało przy matce, to już samo macierzyństwo stwarzało promień nadziei. Rozłąka z dzieckiem była straszna.

Myśląc o możliwościach odzyskania tych dzieci w przyszłości i o przywróceniu ich matkom, zorganizowałam sposób oznaczania niemowląt tatuażem, który nie zwracał uwagi SS-manów. Niejedną matkę pocieszała myśl, że odnajdzie kiedyś swoje utracone dziecko.

Dzieci żydowskie nadal tropiono z bezwzględną surowością. Nie było mowy o ukryciu dziecka żydowskiego lub zmieszaniu go z dziećmi nieżydowskimi. Wspomniane już „siostry” Klara i Pfaní na przemian bacznie śledziły Żydówki w czasie porodu, uniemożliwiając zatajenie faktu narodzenia dziecka żydowskiego, które od razu tatuowano numerem matki, topiono w beczulce i wyrzucano przed blok.

Los pozostałych dzieci był najgorszy: marły one powolną śmiercią głodową. Skóra ich stała się cienka, pergaminowata, przeświecały przez nią ścięgna, naczynia krwionośne i kości. Najdłużej przy życiu utrzymywały się dzieci radzieckie; liczba kobiet ze Związku Radzieckiego wynosiła około 50%.

Spośród bardzo wielu przeżytych tam tragedii szczególnie żywo zapamiętałam historię pewnej kobiety z Wilna, skazanej na pobyt w Oświęcimiu za udzielanie pomocy partyzantom.

Bezpośrednio po urodzeniu przez nią dziecka wywołano jej numer (numerem bowiem przywoływano więźnia). Poszłam ją wytłumaczyć,

lecz to nic nie pomogło, spotęgowało tylko gniew. Zorientowałam się, że wzywają ją do krematorium. Owinęła dziecko w brudny papier i przycisnęła do piersi. Usta jej poruszały się bezgłośnie, widocznie chciała zaśpiewać małeństwu piosenkę, jak to nieraz czyniły tam matki, nucąc przeróżne kołysanki, którymi pragnęły wynagrodzić dzieciom dręczące je zimno, głód i niedolę. Wilnianka nie miała sił i nie mogła wydobyć głosu, tylko łyzy cisnęły się jej spod powiek, padając na główkę małego skazańca. Trudno odpowiedzieć, co było bardziej tragiczne: czy ta jednoczesna śmierć obu najbliższych sobie istot, czy przeżywanie śmierci niemowlęcia, które ginęło na oczach matki, czy śmierć matki, połączona ze świadomością pozostawienia na łasce losu jej żywego dziecka.

Wśród tych koszmarnych wspomnień snuje się w mej świadomości jedna myśl. Mianowicie wszystkie dzieci urodziły się żywe. Ich celem było — żyć. Przeżyło obóz zaledwie trzydzieści. Kilkaset dzieci wywieziono do Nakła w celu wynarodowienia, przeszło 1500 utopiły Klara i Pfaní, z górą 1000 dzieci zmarło wskutek zimna i głodu². W obozie koncentracyjnym wszystkie dzieci — wbrew wszelkim przewidywaniom i wbrew skrajnie nie sprzyjającym warunkom — rodziły się żywe i dobrze wyglądające. Natura, przeciwstawiając się nienawiści i eksterminacji, walczyła o swe prawa uparcie, nieznanymi rezerwami żywotności.

Nie miałam dotychczas okazji przekazać swego raportu położnej z obozu w Oświęcimiu. Swą relację składam w imieniu tych, którzy o swej krzywdzie nie mogli powiedzieć światu: w imieniu matki i dziecka.

1

Kopia tekstu z

PRZEGLĄD LEKARSKI Nr 1 1965

<https://www.mp.pl/auschwitz/journal/polish/171115,volume-1965>

2. Przytoczone tutaj w przybliżeniu dane liczbowe nie obejmują okresu do końca kwietnia 1943 roku.